



**Roman Dmowski gdyby żył między nami, na emigracji 1940 r. miałby dziś inne zapastrywania, inny program, niż w roku 1919. Tamta wojna upłynęła pod znakiem parcelacji państw. Obecnie weszliśmy w okres komasacji państw.**

IGNACY MATUSZEWSKI

## Wartość oporu

Bardzo trudno to uczynić. Ale jednak czynić to należy. Trzeba próbować odsunąć wszystko, co jest najlepszym nawet uczuciem. Trzeba — jeśli się chce bezstronnie i sprawiedliwie ocenić wartość oporu Pol-  
ski.

Polska podjęła walkę, którą prowadzić musiała sama. Oczywiście nie w politycznym, dyplomatycznym, czy ideowym znaczeniu. Ale w prostym, nagim, materialnym sensie tego słowa. Polskę łączyły i łączą z sojusznikami węzły umów, zawartych na stopniu równości, umów, które będą dochowane, inaczej cała wojna, wojna o Europę, wojna o wolność, wojna o prawo — a więc wojna o świętość uroczystości zaciągniętego zobowiązania, wojna o wartość danego słowa — byłaby kłamstwem. Pokój zawierając będą Anglija, Francja i Polska, i ci co się do wojny po ich stronie przyłączą — inaczej pokój byłby kapitulacją Europy.

Ale przestrzeń i czas, geografja i historia — uczyniły z Polski straż przednią w olbrzymiej walce o kierunek rozwoju ludzkości, jaka się rozpoczęła w tej właśnie chwili, gdy dostrzeżliwy pierwszy samoloty niemieckie szłyby wysoko w pogodnym niebie polskiej jesieni.

Przebieg i czas, geografja i historia uczyniły, że Polska miała przed sobą proste lecz straszliwe zadanie: jak Winkelried nie tylko przycięć, lecz i skierować we własne piersi wszystkie włócznie wroga i przeto dać innym czas na obnażenie miecza.

To porównanie nie jest patosem. Jest prosto ściśle. Zadaniem narodu polskiego, w tej, nienajwiększej jeszcze, ale już najważniejszej w dziejach wojnie — było pozwolić głównym siłom Europy stanąć w gotowości: za cenę niewypowiedzianych cierpień, za cenę własnej zguby, Polska powzięła tę decyzję.

Powzięła ją w świadomości całego przerażającego jej znaczenia. Narod polski wiedział, że rola, jaką przeznacza mu historia u czoła burzy jest najstraszliwsza, jaka być może. Wiedział; że to nie walka, po której przyjdzie złuzowanie, że to nie najład, który się może nasunąć i zatrzymać, że to nie wojna w dawnym rycerskim znaczeniu tego słowa — ale że opór wywoła bezlitosne tępienie, krwawą zemstę, barbarzyński odwet za tę porażkę, jaką sam fakt oporu Polski Niemcom zadał. Narod przyjął to niebezpieczeństwo odważnie, niemal pogodnie. "Napewno raczej walcząc zginą, niżby mieli zgodzić się na podobne upokorzenie, zwłaszcza po przykładzie Czechosłowacji, Litwy i Austrii" — zawiadamia Londyn z Warszawy ambasador Kennard 30 sierpnia r. z. Piszcie prawdę.

Cóż dał opór polski?  
Opór ten podniósł przedewszystkiem szanse pokonania Hitlera. Napisał i powtarzam — niema tak złego rządu, który nie potrafiłby skapitulować. Droga zwycięstw Hitlera na tem była oparta. Stawiał kolejno Austrii, Czechom, Polsce alternatywę — poddanie tych państw, albo wyzyskanie do końca druzgoczącej przewagi sił Trzeciej Rzeszy przeciw nim. Polsce alternatywę tę postawiono najostrożniej. Rozkładano kapitulację na raty. Chciano osiągnąć taki układ stosunków, który stwarzałby niemiecką hegemonję w środkowej i wschodniej Europie za zgodą ludów tam zamieszkujących. Ofiarowywano Polsce rolę giermka w tym bezkrywym podboju. Opór polski okazał, że na wschodzie, tak samo jak na zachodzie, ludzie gotowi są umierać za wolność. I to właśnie jest największa szansa zwycięstwa. Gdyby, jak to próbował wmówić światu i narodowi własnemu Hitler, wschód i środek Europy uznał w Niemczech pana i opiekuna, gdyby ludy te gotowe były składać przyrzeczenie wasala na ręce suwerena, gdyby Hitler w rocznicę swego pięćdziesiątlatnia, mógł być prowadzić w swoim orszaku — jak tego pragnął — także i przedstawicieli Polski: wówczas *święte Cesarstwo Narodu Niemieckiego byłoby odbudowane*. Gdyby Polska ugięła kolano — nikt na tych przestrzeniach nie mógłby stawić oporu. Polska rozstrzygała nie tylko za siebie — rozstrzygała za cały wschód Europy. Rostrzygnęła.

Opór Polski nie tylko odebrał Niemcom rolę dobrowolnie uznanego władcy, dobrego pasterza, ale zmusił je do objawienia sobie i światu, że nie prowadzą ani pokojowej, ani wojennej misji cywilizacyjnej. Dla takiej misji bowiem nie można sprzymierzać się z barbarzyńcami. Opór polski zmusił Hitlera, aby sygnał do tego, co sam nazwał "ostatnią kartą". Oddanie dobrowolnie, bez walki, Rygi, Rewla, Dorpatu pod wpływy Azji — to największe w dziejach Niemiec świadectwo rezygnacji ich z własnej historii. A to jest cena jaką Hitler uznał, że zapłacić musi, aby złamać ogniem i krwią fotel Warszawy.

Skutki tego zwrotu, lecz nie tylko w odległej perspektywie historycznej. Są także bliskie i namacalne. Cokolwiek mówi się i pisze — zawarcie sojuszu z Kremlem zerwało sojusz z Rzymem. Zbyt dojmująca jest wada wymowa wieków w tem mieście, aby było owo mogło sprzymierzyć się z ludźmi "Biesów" Dostojewskiego. Opór polski, drogą pośrednią, odpedził widmo związku naprawdę niebezpiecznego, związku, co stanąłby do walki o prymat w dziedzictwie zachodu. Ściągając niebezpieczeństwo czerwone na własne granice — Polska odciażyła bardzo poważnie granice zachodnich swoich sojuszników. Wolno przypuszczać, że gdyby Polska oporu nie stawiła, gdyby się była poddała — położenie strategiczne Zachodu byłoby zupełnie odmienne.

Zanim więc rozpoczęły się działania wojenne — opór Polski spowodował: stwierdzenie wobec świata, że ludy środkowej i wschodniej Europy odrzucają przewodnictwo niemieckie; zmuszenie Niemiec do wyreczenia się pozorów misji dziejowej na wschodzie. To zaś z kolei spowodowało zasadniczą a korzystną zmianę układu sił na zachodzie. Zanim buchnęły pierwsze strzały Polska zadała Niemcom porażkę, ślady której zatrzeć mogłyby tylko ich otępcze zwycięstwo.

Z chwilą gdy trysnęła krew — Polska dowioda, że opór jej był prawdziwy i skuteczny. Nad polskimi ścieżkami błędziły tysiące samolotów — nie było ich nad Kanałem, przez który przepływały w spokoju angielskie pulki. Przez polskie równiny parły, zionące ogniem, pancerny dywizje — niekiedy stały granice Belgji i Holandji, ponichania została próba 1914 roku, próba obejścia umocnień francuskich. W strasliwym węzle przepływały się z sobą polskie i niemieckie bataliony — i spokojnie, metodycznie nadchodzili na wyznaczone stanowiska wojska francuskie. I kiedy wreszcie, przy pomocy kałmuckiej hordy, Niemcy rzucili ten węzeł, kiedy wydobyły skrwawione ramiona z wnętrza Polski — już było zapóźno. Zachód stał gotowy do obrony.

Zadanie Winkelrieda zostało spełnione. Setki aparatów niemieckich strzaskano się o polską ziemię. Setki tysięcy rannych zapełniło szpitale. Dziesiątki tysięcy trupów zostało w polu. W ciągu tych pięciu tygodni polskiej jesieni straty niemieckie wyniosły po stokroć więcej niż na lądzie, wodzie i powietrzu w ciągu pięciu miesięcy wszędzie indziej.

Zadanie Winkelrieda zostało spełnione. Skupił wólcie i przyjął je w swoją pierś. I pozwolił innym żołnierzom tej samej sprawy obrazić mieczem.

Czy tak być musiało?  
Tak być musiało. Sprawa ta stała się — zanim się stała. Stała się w roku 1935, kiedy podarte zostały przez Niemcy klauzule rozbrojenicowe, kiedy armia niemiecka podniosła się z dwustu do ośmiuset tysięcy. W roku 1936, kiedy pulki Reichswehry przeszły przez mosty na Renie, Kolonii, Koblencji, Akwizgranu. W roku 1937, kiedy siły lotnicze Rzeszy wyprzedziły ilością i jakością połączone siły wszystkich jej sąsiadów. W roku 1938 — kiedy zagarnięto Austrię. W roku 1938, kiedy wystraszony począł bez przeszkód obrzymi wal Zygryda. W roku 1938, kiedy świat — pozwalając Niemcom rozstrzygnąć wedle ich woli o granicach w środkowej Europie — sprzeciwiał się jednocześnie podjęciu próby innej, niż niemiecka, organizacji stosunków nad Dunajem. W ro-

Dalszy ciąg na str. 2-ej



## Najpiękniejszy tytuł świata

Londyn, w styczniu.

Mój drogi Stasiu,

(Lup) A jednak redakcja, to jedna z najtrwalszych rzeczy na świecie. Oto znówu zaprzagnęłam mnie do kieratu, gdy "Słowo" powstaje na nowo na obczyźnie. By pismo istniało i trwało, nie trzeba żadnych rzeczy materialnych: ani gmachów, ani maszyn, ani kapitałów. — Trzeba dobrego szefa, i paru lojalnych współpracowników. O pierwszym nigdy nie wątpilem, o drugim — Ty przecież nie wątpić. Pamiętaj, jak kiedyś Jaworski mi mówił: póki będziemy mieli "Czas", póty się gdzieś to światło stańczykowskiej mądrości tlić będzie. Tak samo, póki mamy i Ciebie, i "Słowo" mamy i mieć będziemy niezależną trybunę, gdzie możemy śmiało mówić nasze zdania, nie oglądając się na łaski, uśmiechy, czy grymsy, fanaberję bardziej przemijających, niż my, urzędników, urzędniczków i urzędasów, możemy walczyć o godność, niezależność i wolność naszego zawodu, możemy wołać, że publicystyka, to nie rzemiosło i odwalanie kawałków i podobanie się mcznym — lecz powołanie, lecz pewna pasja: dziennikarzem jest nie ten, kto ma fotel, lecz ten co ma serce.

Co slychać w Londynie? Dziś chcę wspomnieć o dwóch sprawach: o Churchill'u i o stosunkach anglo-sowieckich.

Przed wojną już pisałem, że Anglija mogła rządzić tylko dwaj ludzie: Chamberlain lub Churchill, że reszta — i ci w rządzie i ci poza rządem, są figurantami, chórem tylko dla dwóch wielkich solistów. Fakt, że obaj ci panowie dziś współpracują jest dowodem fantastycznej kultury politycznej anglików: przelumaczywszy to na nasze stosunki, byłoby rzeczka znacznie mniej zdumiewająca znaleźć Sikorskiego i Becka w jednym gabinecie. Bo Churchill miał starcia przed 40 laty jeszcze ze starym papą Chamberlain'em, wielkim Joe, kiocił się z Austenem w rządzie Lloyd-George'a, a Neville, do spółki z Baldwinem, trzymali go poza nawiasem rządu i wpływów przez przeszło lat 10. Nikt premiera nie krytykował bardziej zjadliwie w parlamencie niż Churchill — a jeśli wierzyć plotkom, to w rozmowach prywatnych zjadliwość dzisiejszego pierwszego lorda admiralicji wobec jego dzisiejszego szefa przybierała formy jeszcze bardziej gwałtowne. Dzisiaj Chamberlain i Churchill współpracują — i w pewnym sensie się uzupełniają. Chamberlain ma zaufanie: to jest ostrożność, rozważa, rozsądak; Churchill budzi nadzieję: to jest dynamizm, inicjatywa, pomysłowość, odwaga. Chamberlain daje Anglikom poczucie "security", pewność unikania lekkomyślnych posunięć, niebezpiecznego hazardu; Churchill daje im świadomość własnej siły, wole walki, obraz lepszego świata, wiarę w zwycięstwo. Bez Chamberlaina anglikom mogłoby się здаwać, że są wciągnięci w awanturę; bez Churchill'a — że znaleźli się w ślepej uliczce bez wyjścia. Bez Chamberlain'a anglik byłby nieispo-

kojny bez Churchill'a zniszczeniowy i znudzony. Dzięki Chamberlainowi anglicy mogą we śnie chrapać, a dzięki Churchillowi śnić i marzyć. I jednego i drugiego trzeba, by rano wstać rześkim, i z zapalem zabrać się do pracy.

Tak, ta spółka przypomina Hindenburga i Ludendorffa, tylko brytyjska para jest o tyle bogatsza w niuansy i odcienie, o ile kultura brytyjska jest bardziej subtelna od niemieckiej. Analogja zachodzi jeszcze ta, że podobnie, jak wśród diadochów niemieckich, Churchill, a nie Chamberlain — zdaje się ciągle coraz bardziej stawać się ośrodkiem decyzji brytyjskiej. To on bodaj zdecydował o dymisji Hore-Belishy, właściciela dlatego, że on sam chce decydować o wszystkich trzech działach sił zbrojnych brytyjskich. Jego mowy stają się coraz bardziej ewenementem dnia, ośrodkiem zainteresowania. Prasa brukowa czuła na reakcje ulicy, wypielnia całe szpalty Churchill'em. Obok siebie widnieją jego ostatnie przemówienie radiowe, urwki z jego pamiętników, fotografie i reportaże o jego codziennym trybie życia. Jakże ciekawe. Okazuje się, że w całej admiralicji, od wóchnych aż do "lordów morza" (ten przepiękny, najpiękniejszy chyba na świecie tytuł no si pięciu admirałów, którzy stanowią sztab marynarki brytyjskiej), nikt nie mówi p. Churchill, czy pierwszy lord, czy minister, czy jego ekscellencja, tylko "Winston". Jakież nieomylny znak prawdziwej popularności. Coś tak, jak ten "działek", który o ileż był szerszy i bardziej pochlebny, niż późniejszy, pompatyczny, uroczysty, przedpokojowy protokół, dotyczący tytułowania "nastepey". W tym "Winstonie" jest mimowolne uchwycenie najbardziej zdumiewającej cechy 70-letniego blisko meża stanu: jego wiecznej młodości.

I ta fotografia. W gabinecie "biura admiralicji", pod portretem Króla Wilhelma IV, wystrójonego kaskadą grostajów, w fotelu "lorda wielkiego admirała Królestwa", siedzi w cywilnej marynarce, z niedbale związaną muszką, z kolosalnym cygarem w zębach, z olbrzymią głową, zmrużonymi oczyma, stary, gruby pyszny, pewny siebie, nadęty Winston Churchill, trochę jak magnat na swym zamczysku, trochę jak tenor, świadomy swej najwyższej sztuki, trochę jak milijarder, którego bawi i pasjonuje stawka o miliony. Dookoła niego, idealnie typowi admirałowie — lecz mimo ich galonów i orderów, już z fotografią widać, że to nie oni specjaliści, znawcy, eksperci na pewno najlepsi na świecie, decydują, lecz on, ten cywil, ten artysta, ten trybun, dziennikarz, mówca, pisarz, trochę bohema, bardzo arystokrata. I wszyscy to czują. Marynarze mówią pogardliwie żołnierzom i lotnikom: my jesteśmy od was lepsi, bo my mamy Churchill'a. Aż dziw, że ten stary, brzydki, zgarbiozy człowiek, zły i brutalny, potrafi wzbudzać entuzjazm, zapał, optymizm, prawie miłość, jakąś wiarę, która, niemol daję jakgdyby erotycz-

Dalszy ciąg na str. 2-ej

## Jesteśmy w stanie wojny

(Cat) Wyjaśnijmy pewne przykre i dziwne nieporozumienie. Oto przedwczoraj jedna z gazet wystąpiła z poglądem, że Polska "nie jest w stanie wojny z Rosją". że Polska "nie jest tylko "zerwała z Sowietami stosunki dyplomatyczne" — Sądźmy że takie rozumowanie uchylbia naszemu honorowi państwa i narodu.

Nie było istotnie żadnego aktu, któryby głosił wypowiedzenie wojny przez Polskę państwu Sowietów. Ale nie było też żadnego aktu któryby był formalnym wypowiedzeniem wojny Niemcom przez Polskę. Akty te były najzupełniej zbyteczne i same ich redagowanie stanowiłoby zajęcie niepoważne. W dniu 1-go września wojska sowieckie przeszły naszą granicę i spotkały się również z oporem KOP'u i resztek innych naszych wojsk, które jeszcze na granicy wschodniej zostały. Była to również agresja, takie same najściślej nasze terytorium. Od tej chwili datuje się zupełnie oczywisty stan wojny pomiędzy Rzeczypospolitą Polską a państwem Sowietów, żadnego papierowego potwierdzenia niepotrzebujący.

Sowiety okupowały prawie połowę naszego państwowego terytorium, Sowiety osadziły naszych oficerów i żołnierzy w swoich obozach w charakterze jeńców wojennych. Sowiety wzięły nasze ziemie do swojej organizacji państwowej. Złane są coperawa w historii wypadki, że państwa najechane przez przemoc obcą nie umiały się zdobyć na deklarowanie wojny. Było tak z Koresją w czasach nowszych, a w czasach dawniejszych niestety także z Polską w roku 1772. Ale odcuujemy to wszyscy, jako hańbę. Dziś ubliżam ten kto twierdzi że między nami a Sowietami nie ma stanu wojny.

Finlandja zachwyca świat swoim bohaterstwem. Jakże przyjemnie jest dziś być Finmem. Ten wyraz oznacza chwałę i honor. Finlandja zrobiła już bardzo wiele. Wykazała nicość armji sowieckiej, zdemaskowała prawdziwy walor sojuszu niemiecko-sowieckiego, który tak wielkie uczynił urażenie w dniu 23 sierpnia roku ubiegłego, ujawniła własną wartość sowieckiej przyjaźni, sowieckiej pomocy zbrojnej. Dla tych polityków i publicystów zachodu, którzy przed wybuchem wojny za wszelką cenę dążyli do sojuszu z Sowietami, lektura fińskich komunikatów wojennych prawdziwie jest lekturą pokutniczą.

Ale co się stanie jeśli wkońcu ten trzymilionowy naród bohaterów zostanie pobity i opanowany przez 180 milionowe imperjum?  
Chwila ta nadejść może, — cud, że dotychczas nie nadeszła.  
Wtedy Niemcy okupują Skandynawję. Otrzymają szwedzką rudę, szwedzkie surowce, szwedzkie złoto w ziemi i ze skarbców, otrzymają Nor-

wegę, ten pistolet wycelowany w Anglję, jeśli użyjemy staroświeckiego porównania.  
Bodaj że ważniejsze od tych korzyści materialnych, będą korzyści polityczne, które Niemcy uzyskają w chwili gdy Finlandja padnie. Bo zwaźcie tylko! Państwa neutralne mają już przed oczyma przykład Polski. Miałyby wówczas jeszcze przykład Finlandji. Nie zachłecaloby to chyba do polityki zbyt wobec Niemiec aktywnej, czy opornej. A przecież jeśli nie wynik, to długość wojny, tak bardzo ważna, zależy od stanowiska państw neutralnych.  
Te wszystkie względy rozumiane są przez rządy angielski i francuski, które nie szczędzą Finlandji wyrazów sympatji i nie odmawiają jej pomocy w formie pieniężnej. Ale to nie wystarczy. Kilkaście samolotów, kilkadziesiąt łódek podwodnych mogłoby dziś sparaliżować i odciąć front fiński od Moskwy i Rosji, wywołać bunt i anarchję w Bolszewji, jednym zamachem mogłoby przerzucić kilka kart historii naprzód.

Różne konsyderaacje wstrzymują rządy angielski i francuski od decyzji stanowczych. Nie uważam ich za słuszne, ale nie zajmuję się ich krytyką. Ale te konsyderaacje nie mogą istnieć dla rządu polskiego. Polska jest już w stanie wojny z Rosją Sowiecką.  
Czy Polska może pomóc Finlandji?  
Ruchy wojskowe polskie są skrupowane ogólnie znanymi warunkami. Ale przecież rząd polski rozporządza pewną ilością sił — nie starannie, ale nawet w najmniejszej mierze ustalić ich liczebność — którymi może rozporządzać dowolnie. Tu chodzi o pewien gest symboliczny. Polska jest pobita, zwyciężona, cierpiąca, a przecież podniesie okrwawioną głowę i da pomoc słusznej i pięknej sprawie, da pomoc narodowi bohaterów.  
Mówicie o propagandzie polskiej zagranicą, w Ameryce. Chcicie posyłać tam książki, filmy, gazety: Wierzcie mi, że jedna wiadomość o jednym polskim lotniku który rzucił bombę na Murmańsk, na Putiłowskich zakładach, na Petrozawodsku, na połączenia kolejowe Leningrad-Moskwa zrobi więcej niż zrobił, i zrobić może sam general Haller i jego pomocnicy wyjeżdżający do Stanów Zjednoczonych. Ktoś mi powie, że to są materje wojskowe, do których pióro cywilne nie może mieć dostępu. Ten ktoś będzie się znakomicie mylił. Kiedy Cavour w r. 1855 wysłał garsteczkę wojsk królestwa sardyńskiego na Krym, pod Sewastopol, to działał nie jako wojskowy, lecz jako polityk. Był to ze strony Cavoura czyn wspaniały, który stał się punktem wyjścia dla całej późniejszej polityki oswobodzenia Włoch. Analogje są nader wybitne. Posyłając to co posłać możemy na pomoc Finlandji dokonamy czynu politycznego o dużej skali, zdołamy się na czyn prawdziwie wielki, a zarazem jedyny wielki czyn, na jaki nas stać w dzisiejszej sytuacji.  
(Cat.)

**Następny nasz numer poświęcony będzie**

**ś. p.**

**Stanisławowi Estreicherowi**

**zmarlemu w niemieckim obozie koncentracyjnym**

IGNACY MATUSZEWSKI

# Wartość oporu

DALSZY CIĄG ZE STRONY 1-ej.

ku 1939, kiedy wierzono jeszcze, że można wojnę przeciw barbarzyństwu niemieckiemu prowadzić ramieniem barbarzyństwa moskiewskiego...

Nie tylko my spaliliśmy zbyt spokojnie w te noce podczas których dojrzewał plan podboju świata. A potem — to, co się stało — stać się musiało.

Możemy między sobą, wewnątrz powtarzać z gorącością, że można było najedźmy zadać głębsze ciosy, bolesniejsze rany, dotkliwsze straty. To nasza sprawa — nasz ból. Ale, jak powiedział słusznie generał Sikorski — wynik ostateczny był przegrany. Polska miała do spełnienia najstraszliwsze w tej wojnie zadanie. Spełniła je.

Za jaką cenę? Za cenę, której dotychczas nie zapłacił w dziejach ludzkości nigdy, żaden naród. Za cenę strzaskania każdego polskiego życia. Niema dziś wśród Polaków nikogo, czyje życie nie byłoby zniszczone, niema jednego domu, nad którym wiałaby błogosławieństwo ciszy, jednej rodziny, której jutro byłoby jasne, niema jednego drzewa, do których nie pukałaby ręka, jednego dachu, pod którym zasiąść można bezpiecznie, jednej osoby, która nie patrzyłaby w oczy śmierci, jednego dziecka, któremu budować by można przyszłość, jednej kobiety, co spokojnie zostać by mogła matką. I ci, co tam wśród osniezionych równin, w spalonych miastach, w zrąbawionych wioskach — zostali i walczą, i ci, których rozkaz czy nadzieja dalszej walki wyprowadziły z granic kraju, i ci co za dumę czy siłę, za odwagę czy wartość mru w obozach koncentracyjnych, i ci, co stali się jedynym wolnym głosem i ramieniem swojego narodu — są jednakowo samotni wśród istniejącego świata.

Męka jest każdy zaszczyt, niesiony na ramionach wówczas, gdy leży tam kraj powalony i rozdarty. Męka jest i być musi ćwiczenie ramion, aby dobrze składały się do strzału — kiedy daleki wiatr ze wschodu niesie niepokój tych, co tam zostali i czekają.

Ci, co poszli tak walczyć i tak ginąć — musieli wierzyć. Wierzyć bardzo głęboko, bardzo mocno. I kiedy szukam najprostszego a najwspanialszego objawu tej wiary — nasuwa mi się zawsze jeden obraz. Na murach spalonych, zniszczonych, zdobytej Warszawy — rozlepienie — i zerwane afisze. Afisze z napisem: "Anglo — to twoje dzieło". Nie było nakazu, aby je zrywać. Przeciwnie — za ich dotknięcie groziła śmierć. A przecież czyje ręce zerwały je wszystkie. I ten gest wydaje mi się najwznioślejszą rzeczą, jaka zaszła czasu tej wojny. Ci, co to uczynili, co to uczynić chcieli, co to uczynić musieli — dali wyraz jedynej wierze, która przeszła, aby człowiek mógł stać się niewolnikiem, wierze, co jest ostatnią podstawą ludzkiej godności, wierze — wbrew krwi i mecie — w prawosć, w honor, w słowo innego człowieka.

## WARSZAWSKI PIERWSZORZĘDNY KRAWIEC WOJSKOWY

### GOTHARD

23, rue Clauzel — Paris 9<sup>e</sup> Tel. TRU. 03-37.

przyjmuje zamówienia na umundurowanie pp. Oficerów Arm. Pol. i Lotnictwa, według ścisłych przepisów. Sprzedaż płaszczy skórzanych, dodatków i haftów wojsk. Ceny niskie.

## JEDYNA WYKWINTNA CUKIERNIA POLSKA

«LES DOUCEURS DE MON PAYS»

20, rue Vignon — Paris (9<sup>e</sup>)

Metro: Madeleine lub Havre-Caumartin. Telefon OPERA 03-10

BABY, STRUCLE, SERNIKI, TORTY, PĄCZKI

Kawiarnia, otwarta codziennie od godz. 9-ej do 20-ej

# VINCENT VAN GOGH

## (W 50 rocznicę śmierci)

### Autoportret z obcętym uchem

Zainteresowanie Van Goghem powstawało u nas zwykle w ten sam, banalny sposób: ktoś u kogoś z przyjaciół zobaczył na ścianie autoportret Van Gogha, ten pomarańczowo-czerwono-zielony, z obcętym uchem, na którym tak ostro odcina się biały bandaż i z boku potrząsany, zmęczone i już spokojne — i pytał: — Jak to właściwie było z tym uchem? A przyjaciel mniej, lub bardziej dokładnie wyjaśniał.

Było to tak: Van Gogh zamieszkał w Arles, w pokoju malowanym na żółto — "jest to kolor słońca i radości". Stamtąd szły do Gauguina, jeden za drugim, listy niecierpliwe, naglące. Aż wreszcie Gauguin przyjeżdża. Odtąd pracują razem, od rana do wieczora. Van Gogh maluje dalej swoje ulubione słońca, które nie tylko w kolorze, ale i w zwyczajach i w nazwie mają tyle słońca (tourne-sol). Gauguin zaczyna portret przyjaciela. Czasem zrywa się gwałtowna dyskusja, odkładają palety, rzucają pędzle — "po takiej dyskusji czuję się jak wyładowana bateria elektryczna" żartuje Van Gogh. Wreszcie Gauguin pokazuje przyjacielowi portret.

"Tak to ja, powiada Van Gogh, ale ja jako warjat!"

Wieczorem, po pracy, idą obaj do małej knajpy na placu Lamartine, na szklance absyntu. Van Gogh jest czegoś podniecony, niespokojny. Nagle zrywa się i rzuca w przyjaciela szklanką napełnioną płynem. Gauguin zdążył się uchylić. Następnego dnia rano Vincent przeprasza go, jest szczerze zmartwiony swym dziwnym wybrykiem. Ale zdenerwowany Gauguin postanawia wyjechać. Po kolacji wychodzi sam na krótki spacer. Mijając plac Lamartine słyszy za sobą skradające się, szybkie i nierówne kroki. Poznaję chód Van Gogha. Odwraca się. W tej chwili Vincent rzuca się na niego z nożem w ręku. Gauguin nie chwycił go za rękę i nie uderzył, popatrzył tylko bardzo ostro. Wystarczyło. Van Gogh zawraca i idzie ze spuszczonej głową, wolno do domu, jak zawstydzone dziecko. Gauguin spędza noc w hotelu. Rano przed domem zastaje tłum ludzi, na schodach krew. — Co się tu stało?!

— Co się stało, powiada suchym

głosem inspektor polejki, zabił pan swego przyjaciela.

Gauguin wbiega na górę. Van Gogh leży na łóżku, a na podłodze, na poscieli pełno krwi. Gauguin pochyla się nad nim, woła, nic, dotyka — Vincent jest ciepły, więc żyje, tylko zupełnie nieprzytomny. Z głowy sączy się krew.

Co się zdarzyło tej nocy? Oto wczoraj, po powrocie do domu z nożem w ręku, Van Gogh za jednym zamachem obciął sobie ucho przy samej głowie. Potem zawiązał je starannie w papier, nasunął na czoło beret i poszedł do najbliższego



To Galsworthy w swoim cyklu poświęconym miłości i Dinny mówi o jej narzeczonym: — "Ludzie, którzy mają w sobie tygrysa".

Ludzie, którym wrażliwość i niepokój, przenierwienie wrażliwość uniemożliwiają reakcje słabe, którzy muszą przeżywać niezmiernie intensywne i skrajne: — bo jeśli już nie może być dobrze, niech będzie bardzo źle!

Całe życie Van Gogha składa się z ogromnych wysiłków, żeby było dobrze i przez całe życie jest bardzo źle.

# Najpiękniejszy tytuł świata

Dalszy ciąg ze strony 1-ej.

ne dreszcze. Nie znam Churchill'a, a wydaje mi się starym, bliskim znajomym. I on jeden właściwie, ze wszystkich mężów stanu aliantów, ma to coś, co cechuje prawdziwego wodza: ma się wrażliwość, że jest stworzony do rozkazania, i że na jego rozkaz bez wahania by się poświęciło życie. Bez Churchill'a, wojna byłaby nudna, zwycięstwo byłoby bez smaku, przyszłość bez jutra. Tylko Churchill może dać aliantom to, co im dał 20 lat temu Clemenceau: — to wiary w siebie, w swe siły, w zwycięstwo, które płynąć może tylko z bezgranicznej pychy. Właściwie Hitler znalazł dla siebie rywala dopiero z chwilą, gdy Churchill doszedł do władzy: i, rzec dziwna, jak on to telepatycznie wyczuł, przecież zaczął atakować Churchill'a, gdy ten był odsunięty od wszystkiego — i, jak gdyby przez fatum, to on, Hitler, dał Churchill'owi, wbrew wszystkim — parlamentowi, partii rządzącej premierowi, opinii — władzę i on mu dzisiaj przysparza popularności.

Ta bezgraniczna pycha Churchill'a — a z drugiej strony wielka kultura polityczna tego kraju — pozwalają mu tak lekko, tak gładko zmieniać przekonania. Drugiego października siuchałem ze zdumieniem, że Churchill mówił przez radio, że "nie dość rosyjski na zawsze zagradza Niemcom drogę na wschód, jedna jego łapa trzyma straż nad Bałtykiem, druga chroni Balkany", i tak dalej. Churchill stawił na Sowietów na całego. Dzisiaj, 20 stycznia, przez tożsame radio, Churchill mówił o Sowietach z największą pogardą, nie robiąc najmniejszej różnicy między nimi a Trzecią Rzeszą. Gdybyż to się u nas zdarzyło, iluż maleńkich mądrułków by się znalazło, by piszczeć: "Zmienił zdanie, a nie mówię, a kto miał rację, a czy wobec tego nie powinienem zająć jego miejsca." Tu nie. No tak, zmienił zdanie. Omylił się. Ale myliła się cała Anglja. Finlandja otworzyła Anglii oczy. Z aliansu z Sowietami zrezygnowano. I właściwie spór co do Sowietów ogranicza się do pytania — czy od nich zacząć, czy na nich skończyć? Na zakąskę, czy na deser? Ja, oświadczyłem, wolę barszcz przed parówkami z kapustą. No, ale, jeśli kto woli można odwrócić porządek...

W każdym razie, w opinii brytyjskiej zmienia w stosunku do Sowietów jest najdonioślejszą, jaka w ogóle zaszła od chwili wybuchu wojny. Bo inne elementy się mało zmieniły: determinacja w stosunku do Hitlera, lojalność wobec aliantów, dobra wola w stosunku do Włoch, nadzieje (choć te zmalowały), jeżeli chodzi o Amerykę. Ale, jeśli chodzi o Sowiety, zmiana jest stanowcza. I wydaje mi się, że definitywna.

Dla nas biogławiona. W październiku można było przypuszczać, że Anglja będzie nam doradzać położenie krzyżka na Kresy Wschodnie. Dzisiaj to się wydaje wykluczone. Krzyżki kładą natomiast sami Moskale. Już trzeci raz zmienia się linja demarkacyjna sowiecko-niemiecka. Pierwsza biegła na Wiśle. Druga na Bugu. Trzecia będzie już wkrótce znów na Zbruczu, a pogłoski o przesunięciu wojsk niemieckich ku granicy rumuńskiej śledzone tu są z niesłabnącym zainteresowaniem. Granica ryska jest łatwa dzisiaj do obrony w opinii angielskiej. Ale nie przesunięcie jej dalej. Granica ryska jest tytułem formalnym i prawnym: jej rewindykacja pozwala uniknąć dyskusji kwestii ukraińskiej i otwarcia całego problemu stosunków polsko-rosyjskich. Jeżeli przesuniemy granicę ryską o jeden powiat, albo jeśli oddamy jeden powiat — to otwieramy cały wiekowy spór polsko-rosyjski: bo jeśli iść dalej, to dlaczego nie do Kijowa, a jeśli się cofać to czemu nie aż po San? Na etnograficznych przesłankach tej granicy niepodobna ustalić. Tytuł formalny jest tym jedynym tytułem, który w opinii angielskiej przejdzie gładko. Przynajmniej tak długo, jak długo Anglja nie zechce postawić sprawy rosyjskiej w całej rozciągłości. Dotąd nie chce. Nie chce nawet Churchill. I przy najmniej na razie. Choć słusznie sam Churchill największy błąd powojenny aliantów upatrywał w tem, że nie zdolali oni zlikwidować bolszewizmu. Hitlerizm jest bękartem komunizmu.

..

Ot, rozgadawszy się, jak gdyby napisał kolega Cyrski, którego koniecznie powinienem sprowadzić do Paryża i nauczyć argot'u. Aż, jako wypolerowany Paryżanin wrócił do pocziwego Wilna, by na starych śmieciach, na Zamkowej, z powrotem objąć swój kącik. Ale jak będzie wracać, to jednak zostawie, z porządną pensyjką, w Paryżu czy Londynie tego zatwardziałego "zapadnika", waszego starego

Lupa.

# Komunikaty

Towarzystwo "Association-France-Pologne" przy współpracy Młodych Muzyków w Paryżu urządziła w dniu 5-go lutego 1940 roku, w sali Opéra Comique, o godz. 20 ej WIELKI KONCERT poświęcony muzyce polskiej, pod wysokim protektoratem IGNACEGO PADEREWSKIEGO.

W koncercie biorą udział: Witold Malcużyński, jeden z najświetniejszych uczniów Ignacego Paderewskiego, odznaczony Grand Prix na konkursie Chopin'a w Warszawie w 1937 roku oraz Henryk Szeryng, utalentowany skrzypek, znany już publiczności paryskiej jako duży miary artysta.

Całkowity dochód z koncertu Towarzystwa France-Pologne przeznaczają na cele dobroczynne dla Ogniska Żołnierza Polskiego we Francji.

Bilety w cenie od 10 fr. do 50 fr. oraz ulgowe (studentkie) są do nabycia w Kasie Sali Teatru Opéra Comique lub u Durand'a 4, Place de la Madeleine.

## KOMUNKAT

AMBASADY R.P. W PARYŻU

Polski Czerwony Krzyż we Francji (2, rue Euler, Paris 8<sup>e</sup>) zorganizował w Biurze Poszukiwania Rodzin centralne listów, nadchodzących do uchodźców z niekompletnymi adresami lub adresowanych do instytucji polskich we Francji i zagranicą.

W chwili obecnej przekazywane są listy przez następujące instytucje:

- 1. Croix-Rouge, Genève
- 2. Croix-Rouge Française

- 3. Ambasada R.P. w Paryżu
- 4. Konsulat Polski w Paryżu
- 5. Ministerstwo Opieki Społecznej w Paryżu
- 6. Biblioteka Polska w Paryżu

Pragnąc umożliwić jaknajwiększe liczbie uchodźców szybko nawiązanie kontaktów z rodzinami i bliskimi im osobami, Ambasada prosi o przekazywanie wszystkich listów uchodźców lub rodzin w Polsce do Biura Poszukiwania Rodzin Polskiego Czerwonego Krzyża. Jednocześnie Ambasada prosi o podanie do wiadomości zainteresowanych o powyższej instytucji, która w Paryżu centralizuje wszelkie wiadomości o zaginionych lub poszukiwanych osobach i o spowodowanie kierowania bezpośrednio pod wyżej wskazanym adresem kore spondencji w tej materji.

Za Chargé d'Affaires :  
podpis nieczytelny

# Wszyscy Polacy

leczą się lekami polskiej firmy

## Magister Klawe

Informacje i cennik leków bezpłatnie.

LABORATORIUM MAGISTRA KLAWE

39, Bd. de la Tour-Maubourg, Paris 7<sup>e</sup>

# MIGRINOL KLAWE.

Migrena - nerwobóle.

Nie pobudza akcji serca. Cena pud. zaw. 10 proszków — 8 fr. 35  
LABORATORIUM MAGISTRA KLAWE  
39, Bd. de la Tour Maubourg — Paris VII

## Warszawski pierwszorządny krawiec wojskowy

# LEON

78 Bld. Ornano Paris. Metro Clignancourt.

Umundurowanie dla P.T. Oficerów armii polskiej i Lotnictwa z materiałów przepisowych. Sprzedaż dodatków wojskowych.

Ceny niskie — szybkie wykonanie.

być dłużej handlarzem obrazów, zostanie misjonarzem. Ale koniecznie tam, gdzie są kopalnie, gdzie najcięższe.

Rada rodzinna przyjęła nie bez wzruszenia decyzję 24-letniego chłopca. — Odezwał się w nim rodzinny powołanie, mówili kiwając głowami i potrzęsając ręką pastora Théodora Van Gogha, ojca Vincenta.

W centrum kopalnianego życia, w Borinage, Vincent rozpoczął swoją pracę. Pracował tak jak umiał, to znaczy z gorączkową pasją, z całkowitą oddaniem. Kiedy wydarzyła się w kopalni katastrofa, jeden z pierwszych biegł ratować rannych, dał koszułę i skrzepał z nich bandaże, kiedy niedługo potem wybuchła epidemia, siadywał przy łóżkach chorych, aby czytać im Ewangelię. Chciał być biedniejszy od najbardziej: rozdał wszystko co przyniósł, spisał na ziemi, żywił się wodą i chlebem.

Była w nim jakaś ogromna potrzeba miłości i poświęcenia. Podniósł ostrożnie piskletę i niósł do gniazda. Zbierał na ścieżce gasienice, które ktoś nieostrożny mógłby rozdeptać i usadzał na liściach koniżyny, albo kwiatkach rumianku. Niektórzy uważali go za dziwaka, inai za świętego.

A jednak w 10 lat później wystarczył jeden atak choroby, żeby się ludzie od niego odwrócili. Kiedy po obcięciu ucha uspokoił się i wrócił do stanu normalnego, zaczęto go w Arles unikać. Gdy szedł ulicą, przechodzą na drugą stronę. Dzieci schylały się po kamienie.

"Traktują mnie jak psa wściekłego" pisał rozżalony do młodszego brata, Teodora. Zróbili się z żądaniem do mera, żeby mnie pozbawiono wolności, bo jestem niebezpieczny dla otoczenia, a przecież nikomu dotąd nie zrobiłem krzywdy."

Od tego czasu ataki szalu powracały, ale między nimi następują okresy spokoju i niezwykłej jasności umysłu. Vincent zamknięty z domu zdrowia w Saint-Remy maluje całymi dniami. Wtedy też powstają największe jego arcydzieła.

Pewnego dnia wychodząc do ogrodu z rękami pełnymi przyborów malarskich, spotkał na progu strażnika. Zupełnie niespodziewanie kopnął go z całej siły w pierś i uciekł. Złapano go. Po paru dniach, kiedy krzyż już zniżał, Vincent spotkał się z nim znowu: — "Wybaczone mi, proszę. Nie przypominam sobie do-

brze co zrobiłem, ale wiem, że postąpiłem nieładnie. Nie trzeba brać mi tego za złe. Widzicie - wydało mi się nagle, że słyszę krzyki całego tłumu, który mnie ściga i przesładuje".

Taki święty Franciszek z Assyżu, którego nie rozumieli ludzie i nie pokochały zwierzęta.

## Charlie Chaplin

Zwierzchnicy nie byli zadowoleni z jego pracy w Borinage. "ci panowie Ewangelicist", jak z ironią odzywał się o nich Van Gogh. Zabarzdzo był różny, inny od nich, ten młody misjonarz. Odmówiono mu pozwolenia na dalszą pracę.

Przychodził najcięższy okres w jego życiu, kiedy odepchnięty, pozbawiony pomocy, decyduje się jednak zostać wśród swoich "czarnych gęb" z kopalni, rok w którym umiera w nim powoli misjonarz, a rodzi się artysta. Z tego okresu pochodzi przepiękny list Vincenta do Teodora:

"Istnieją włóczędzy zyciowi i darmozjadzy różnego rodzaju. Są tacy, którzy marnują czas przez lenistwo, słabość, czy podłość charakteru. Jeżeli chcesz, możesz mnie do nich zaliczyć.

Ale istnieją też tacy, którzy to robią wbrew swojej woli, bo wewnątrz między ich ogromne pragnienie działania, czują się jakby uwięzieni: beznadni, bo jeszcze szukają, jeszcze nie odnaleźli, nie natrafili na drogę, która musi do nich należeć. Taki człowiek nie wie sam jeszcze do czego jest zdolny, czuje tylko instynktownie, że przecież coś mu się uda, coś na niego czeka. Ja naprzykład tak wyrażam, że mógłbym być innym człowiekiem, że jest coś takiego we mnie, ale co?"

Z tego okresu pochodzą pierwsze jego rysunki i szkice, niezgrabne i smutne: robotnicy powracający z kopalni, kobiety schyłone pod ciężarem worków, a później jeszcze "Zjadacze kartofli" (Les mangeurs de pommes de terre), to wszystko, na co przez ostatnie lata patrzył współzyciemcami oczami misjonarza.

Jeżeli krągłe i lśniące, zielone jakoby kojarzy się z Cezanem, to wy naturzonoj, bezkształtne kartofel przypomina sposób patrzenia na świat Vincent Van Gogha.

Zawsze był gotów pomóc wszystkiemu, co bezsilne, chore, nieszczęśliwe, a jednocześnie przez dziwną ironję losu budził nakołoto siebie śmiech i drwiny, przecież nawet ci warjaci z domu zdrowia w Saint-Remy, kiedy im ofiarowywał tylko co wykonane płótna, potrzęsali głową uśmiechając się pogardliwie.

Taki Charlie Chaplin, z którego się tylko śmiali.

## Urszula i Krystyna

Urszula była pierwszą, nieszczęśliwą miłością Van Gogha i niechęć zaważyła ciężko na dalszym jego życiu. Krótki okres pierwszej miłości, kiedy Vincentowi zdawało się jeszcze, że będzie wzajemną, to jedyny okres w jego życiu, kiedy mówił i pisał o szczęściu. Młodzieńca Urszula ze śmiechem odrzuciła jego oświadczenia, był to cios, który niektórych psychologów uważają za decydujący w dalszym rozwoju choroby.

A potem przyszła Krystyna. Była prosta i solidnie zbudowana, jak prawdziwa robotnica. Miała czworo dzieci, piąte na dniach. Piła, pluta, paliła i kleła jak dorożkarz. — "Spotkałem kobietę ciężarną, pisał o niej Vincent do Théo, porzucona, która ra z czworgiem dzieci włóczy się zimą po ulicach i zarabia na życie, wiesz dobrze jak. Przyjąłem ją jako modelkę... Nigdy dotąd nie znalazła drogi. Jakże więc może być sama dobra?"

Historja z Krystyną wywołała skandal i oburzenie w rodzinie Vincenta i wśród t. zw. "porządných ludzi". Piąte dziecko przyszło na świat w pokoju Vincenta i zostało uwiecznione na jednym z rysunków razem z Krystyną, kołyską i starszym braciśkiem. Któregoś dnia Van Gogh pokłócił się i wyrzucił Krystynę. Przyszła następnego dnia. — Czego znów chcesz? rzucił ostro. — Nie przyszłam, żeby pozować, powiedziała swoim ochryplym, niskim głosem, przyszedłam sprawdzić, czy masz co jeść, i postawiła na stole kosz pełen kartofli i grochu. To było jedno z przeżyć, o którym Vincent nie mógł bez wzruszenia mówić.

## Śmierć

W życiu każdego człowieka, najbardziej nawet udręczonego, jest choćby jedno jasne przeżycie. W życiu Krystyny był Vincent. W życiu Vincenta Teodor, Théo, młodszy brat, zupełnie inny — normalny człowiek, bez żadnych skomplikowanych przeżyć wewnętrznych, burz i tragedji, który powoli i cierpliwie robił karierę urzędniczą. I właśnie to jest najcudowniejsze, że ten brat przez całe życie pomagał Vincentowi, i jeden, jedyny wierzył w jego talent.

Mysli o samobójstwie nie opuszczały Vincenta właściwie nigdy. Już jako dwudziestoparoletni chłopak pisał do Teodora taki oto przedziwny list:

(Dalszy ciąg na st. 3-ej)

JÓZEF LOBODOWSKI

# KRYPTA NA WAWELU

Przeszły pułki, wzbijając bitewną kurzacę,  
wypaliła się rozpacz, dymy rozwił wiatr.  
Mogły śnieg zasypał.

Nad miasto, nad Wawel  
wiezienna noc się chyli, błędną w kazamatach —  
i wzrok oślepy niewidzących lat  
naprótno szuka oczystego świata.  
W śniegu, pod szklistym niebem spi dalekie Wilno,  
Ostra Brama z świętością błuźnierczo odarta.  
Gwiżdże wiatr za ścianami.

Smiertelna bezsilność  
zamknęła orle oczy. Kroków odgłos głuchy.  
I szumią nad głowami niespokojnej warty  
rozwiązane skrzydła zawieruchy.  
Proste krzyże przy drogach, krzyże bezimienne,  
plutkie doty, w pośpiechu wybrane łopatką.  
Już jesień rozpaczliwa, świta niebożym smutkiem  
smużą się nikłym blaskiem nad żołnierskim grębem.  
Kawki, wrony krzaczące, zapłakany matkom  
czarną miosg żalobę.

A był maj, rozśpiewany w zaroślach i trawach,  
czerechmy stały w kwiecie, noce gasły w łzach.  
Osierocona na trumnie buława,  
gospodarstwo,  
wydane na łup złej czeladzi...  
I rósł nad mrocznym tłumem nieobjęty strach —  
i milczał żołnierz.

On jeden nie zdradził.  
Ojczyznę hućcał gromoty. Rwie żelazny krok.  
Świętuje dzień przemocy rozjuszone mrowie.  
Cmentarze dymią przedwiozorną mgłą,  
idzie noc, dzień ją zmienia pochmurny i słotny,  
i spi w kamiennej trumnie utrudzony człowiek,  
samotny w śmierci,  
jak w życiu samotny.  
A my, którzy nie mamy ludu, ani miecza,  
marmotraczy wielkości, wpatrzni w swą biedę...  
Ani nam własna ręka powrót zabezpiecza,  
ani oślepie oczy widzą śród kurzawy —  
i pusty,  
zrabowany przez wroga Behweder  
świeci, jak pomnik obumarłej sławy.

Jeszcze tak niedawno złote słońce na barci,  
gwiazdy w sinem niebie, niby malowane,  
na białym koniu literwski święty Marcin —  
wilki wyły,  
podchodzili pod ganek.

A ze żmudzkiego herbu tępni Pogon,  
biegną chłopcy w maciejówkach —  
— o, mój rozmarynie!

Batorjańską dolinę, jagiellońską drogą  
kiedyż Wisła popłynie...

Od huków step wiosenny zbudził się nad ranem,  
zarząły łacie konie, skaczą głowa przy głowie.  
Zanim nocą nadejdzie,  
chciałem Forum Romanum

ufundować w złotogłowym Kijowie.  
Od tego dnia będziecie, nasze smutki i troski,  
po wieków wiek związane ostrzem stali —  
na polu, na Podolu z hetmanem zaporoskim  
na śmierć się całowali.

Cóż dzisiaj z tego mamy, prócz popiołów garstki,  
gdzie granice,  
sztańdarem zwycięskim nakryte?

— Ziemię świętego Jura depozę koń tatarski,  
w trumny bije kopytem.

Zmilkły dzwony wysokie — a żalobna strofa  
jest, jako dźwięk kielicha śród cmentarnej trzyny —  
i czarna noc nad krajem,  
i kamienny sarkofag,  
tylko tyle zostało z ojczyzny.

A już w mroku szykują nowe pacta conventa  
na jeszcze nieostyglą gróbie...

...Oj, powiedział ja tobie, panie regimentarz,  
lecz wszystkiego  
nie powiedział ja tobie.

Tak się gлина przepala w nieskończonych bitwach,  
znovu głuche cmentarze i dymy pożarów.

W śniegu zabrnęła Białoruś i Litwa,  
w krtaniach zduszonych uwiał knebel krzyku —  
na ruinach, w popiołach  
opuszczony naród

spi snem bolesnym niewolników.  
Aniolowie z kamienia pochylili głowy,  
nie lekko świętym sprawić się z legendą.

I nad gwar mierzowny, nad ugor jałowy,  
od spopielałej chaty po ostatni szaniec  
leciały pieśni,  
jeszcze lecieć będą,  
o zdradczonym polskim hetmanie.

## Sytuacja w przededniu agresji

patrz "Słowo" N° 2 z dnia 28 stycznia 1940 r.



## Przebieg operacji wojennych

patrz "Słowo" N° 2 z dnia 28 stycznia 1940 r.



## NIEDYSKREJCJE...

Zima 1939-40. Biuro Gestapo w Krakowie. Godziny urzędowe. Wydawanie kart cyrkulacyjnych dla ludności podmiejskiej. Starsza kobieta zgłasza się do okienka — urzędnik pyta na jak długo karta ma być wystawiona. "No to już chyba aż nasi wrócą" padła odpowiedź po chwili namysłu.

nego materiału do celów tej urzędowej publikacji, musiało jej autorom zadać nielada trud. Nie jest prostą rzeczą wytlómaczyć po 5 latach łgarstwa, że się zawsze prawdę mówiło. To też fotomontaż tego rodzaju nie mógł się udać. Na stronicy 253 i 254 czytamy w raporcie amb. Dirksena z dnia 18 Marca 1939: "Nie da się jeszcze przewidzieć czy rozmowy Anglii z Francją, Stanami Zjednoczonymi, Rosją Sowiecką,

## Włochy w klamrze nawiasu «Nie Wojowania»

Rzym, w styczniu.

Po znanej mowie włoskiego ministra spraw zagranicznych hr. Ciano, która była niewątpliwie przedwstępem do dalszej ewolucji politycznej a może nawet i do dalszych deklaracji bardziej wyklarowanych, niewątpliwie najbardziej poważnym ewenementem ostatniej doby i na zewnątrz i w zakresie życia wewnętrznego we Włoszech była mowa sekretarza Partii Faszystowskiej Hektora Mutiego. Sądząc z wielu objawów można już dziś zauważyć że nigdy jeszcze tak, jak obecnie, polityka zagraniczna włoska nie wkroczyła coraz bardziej na wielkie historyczne szlaki, po których w innych okolicznościach i warunkach wewnątrznych i zewnątrznych szła ciągle w harmonijnej obronie własnych interesów ale i interesów cywilizacji, powiedzmy wyraźnie, katolickiej i rzymskiej. Klamra nawiasu "nie wojowania" (non belligeranza) bardzo łatwo otworzyć się może: nie wchodzimy w to na czyją korzyść albo w jakim celu wkraczałoby to w zakres jasnowidztwa, które już i tak dało się we znaki życiu i społeczeństwu polskiemu. Deklaracje sekretarza Partii Faszystowskiej mówią o konieczności nie ludzenia się iż Włosi mogą pozostać do końca obecnego wojennego widowiska jedynie jako widzowie. Wydaje się nam że — im bardziej naturalny rozwój polityki zagranicznej włoskiej dzięki szerszym okolicznościom będzie prowadził do akcentowania tego wkroczenia na wielkie tradycyjne i historycznie umotywowane szlaki, tym bardziej będzie skracał się okres obecnego "nie wojowania".

Wyraźne skonstatowanie nieprzejdźnego stanowiska w stosunku do demokracji, burżuazji i bolszewizmu czyli innymi słowy zdecydowana akcja antydemokratyczna, antyburżuazyjna i antybolszewicka, to przecież niejako zaakcentowanie niezłomnej wierności zasadom kardynalnym, które stały u kolebki rodzącego się z potrzeb istotnych (jakich załatwienie wymagało pospiechu) nietylko ruchu faszystowskiego ale i tego co do życia Włoch wniósł w najrozmaitszych dziedzinach doktrynalnie i w praktyce nowy prąd polityczno-społeczny. Ewolucja faszystów odbiega już dawno od identyczności ewolucyjnych innych prądów podobnych, równie totalistycznych i autorytarywnych: deklaracje sekretarza Partii Faszystowskiej są zaś dowodem, że zasady pozostały bez zmiany i będą urzeczywistniane w dalszym ciągu bez zastrzeżeń.

Już mowa hr. Ciano wyjaśniała wiele rzeczy; minister mówił wiele rzeczy często mimochodem bez zbyt wyraźnego podkreślenia szczególnej wagi tych wyjaśnień: deklaracje Hektora Mutiego idą pod pewnym względem dalej, zwłaszcza w tem co dotyczy jasnego i niedwuznacznego

stwierdzenia stosunku do bolszewizmu. Pamiętać trzeba iż z walki z tym politycznym "rakiem" naszego studenta urodził się faszizm.

Jeżeli zwążywszy że Mussolini szedł na politykę neutralizowania Rosji Sowieckiej w pokojowej rozgrywce przedwojnia pomiędzy blokami państw demokratycznych i państw osi Rzym-Tokio-Berlin, to obecnie skonstatować musimy i możemy iż Hitler wpał w potrzask przygotowany własnymi rękami ale funkcjonujący w chwili odpowiedniej dla Stalina. Mussolini uniknął tego potrzasku, wiedział on bowiem iż ideal walki z bolszewizmem (zapobieżenia następstwom potrzeb reformowych w dziedzinie społecznej stworzonych niewątpliwie na skutek rewolucji i ewolucji komunistycznej, wyprowadzenia narodu z matni powojennej i dostosowania go do nowych konieczności) będzie zawsze ideałem narodu włoskiego. A naród ten przekonany jest że sztandar antybolszewizmu jest właśnie sztandarem prądu faszystowskiego i jego urzeczywistnienie w życiu państwem Włoch, życiu rozwijającym się według tradycyjny wartości ducha.

Mussolini jest niewątpliwie jednym z najbardziej realnych polityków doby dzisiejszej w Europie. Umie on w porę zamknąć ale nie znaczyć to aby zaprzestał (czy to na krótką czy dłuższą metę) działać, aby dzięki swemu realizmowi nie wykorzystał dla swego narodu wszystkich możliwości jakie wynikają z obecnej sytuacji, aby odzegać się od takiego zakłamania jakiego przykłady hojną ręką rozsypywał w Europie Adolf Hitler. Mussolini potrafi jeszcze wiele rzeczy przemilczeć i z miną dobrego gracza przejść do porządku dziennego nad niefortunnym posunięciem swego partnera. Ma on jednak doskonałą pamięć, jak wynika z wielu jego kroków na śliskim gruncie polityki zagranicznej.

Polityka zagraniczna faszystów stara się być odzwierciedleniem temperamentu Mussoliniego i jest niem w gruncie rzeczy w obecnej chwili: stąd nie idzie ona na lep łatwych entuzjasmów i sympatii a przede wszystkim stara się oddać Cesarzowi i cesarskie a Bogu co boskie, nie szuka słów a ujawnia wyraźnie i bez ogródek predykcje do faktów. I — co najważniejsza — oczekuje faktów.

Przyszłość pokaże w całej pełni jaką rzeczywistość stworzył tak zwany Pakt stalowy z maja 1939 roku skorygowany odpowiednio rozmowami w Berlinie, w Berchtesgaden i w Salzburgu a wreszcie — mamy wrażenie iż definitywnie — układem niemiecko — bolszewickim w wigilję zdradzieckiego najazdu na Polskę.

Leonard Kociemski

państwami Bałkańskimi, mają na celu ..... uzgodnienie sposobów postępowania na wypadek dalszych uderzeń Niemiec na inne państwa n. p. na Rumunię lub Polskę".

Jak wiemy Niemcy znacznie później, niż dzień 18-go Marca 1939 powolywali się na to, że ich obowiązuje umowa polsko-niemiecka o niestosowaniu przemocy. Zarzucali nam, żeśmy zawarli pakt z Anglikami, że im nie dowierzamy .....

Jako komisarz finansowy zjechał do Warszawy razem z armją hitlerowską p. Lastowiczka. Nie jest to nazwisko nieznane w naszej stolicy. Pan Lastowiczka był dyrektorem

jednego z większych banków w Warszawie, był członkiem Izby Handlowej, zasiadał w komisjach rewizyjnych wielu wielkich zakładów przemysłowych, między innymi wytwórni wagonów kolejowych etc. Miał dostęp prawie do wszystkich tajemnic przemysłu wojskowego, naszego przygotowania wojennego.

W jednej ze sztuk Sardou, Napoleon ma podsuniętą zatrutą tabakierkę. Fouché jest wtedy w nielase, ministrem policji jest książę Rovigo. Wykrywa truciznę Fouché.

Mówi wtedy Napoleon: Fouché! Poczęstuj tą tabakierką księcia Rovigo. Tak samo my dziś częstujemy wiadomości o panu Lastowiczka nasz II Oddział.

## VINCENT VAN GOGH

(W 50 rocznicę śmierci)

(Dalszy ciąg ze st. 2-ci)

— "Wziąłem dziś na śniadanie kawałek chleba i kufel piwa; jest to sposób szczególnie zalecany przez Dickensa ludziom, którzy zamierzają popełnić samobójstwo. Podobno to ich nakłania do odłożenia na czas pewien swoich projektów"...

Pobyt na południu w sanatorium w Saint-Remy zaczął drażnić i męczyć Vincenta. Prosił Teodora, żeby mu pomógł wrócić na północ. Posłuszny Theo przewiózł brata do sanatorium w Auvers-sur-Oise. Wkrótce potem 28 lipca 1890 roku Vincent popełnił samobójstwo. Strzelił do siebie z rewolweru, na łące, podczas malowania jednego ze swoich pejzaży. Zyl jeszcze przez parę godzin. Kiedy lekarz zaczął mu robić wywoki, Vincent odburknął: — "No dobrze, już dobrze... Niech mi pan lepiej poda fajkę, jest w kieszeni mojej marynarki". Człowiek, który przez całe życie był rozdrażniony kłębkiem nerwów, umierając zachował się z zupełnym spokojem i obojętnością. I tylko list do Teodora, ostatni z serji jego pięknych listów, może świadczyć o straszliwej męce, rozpacz i zwątpieniu.

Najwierniejszy z braci, Teodor, umarł w 6 miesięcy później. Pochowano ich razem na małym, wiejskim cmentarzu w Auvers-sur-Oise, gdzie wiosną dolatuje śpiew skowronków i płynię z łąk zapach ziół.

Pochylił głowy przed grobem Théa, bo gdyby nie jego cudowna wiara i wytrwałość, nikt z nas by dziś nie znał nazwiska malarza, o obrysim talencie Vincent van Goha.

Portret Van Gogha jest zbiorowiskiem plam kolorowych, plamek świetlnych wibrujących niespokojną, drżącą powierzchnią. W jego obrazach niema jednostajnych, nujących powierzchni, wszędzie wkradła się wnikliwa analiza koloru, rozbijająca go na części, na atomy. Barwa — to życie samo, żywioł, w który wdiera się z pasją i nieśkonńczoną ciepłością zarazem. Kwiaty Vincenta i pejzaże, najpospolitsze wnętrza, przeniknięte są ogromem wyczucia i każda z jego prac wygląda jak głębokie, osobiste przeżycie.

Są artyści, dla których sztuka jest



pięknym salonem, odświeżną przyjemnością, ludzie ci nie rozumieją nigdy wulkanicznej twórczości Van Gogha, nie potrafią objąć ogromu namietności przenikającej każdy skrawek jego płótna. Laicy zarzucają mu niekiedy nieudolność rysunku, coż za nieporozumienie! Jakież wspaniałe są jego szkice i rysunki węglem, czy piórem: ogrody, albo daleko idące w perspektywie pola, gdzie każda piędź ziemi, każda gałązka drzewa jest precyzyjnie odrysowana, bez obrzydliwej jednak nudy nieomylnych rysowników. Długo zostają w oczach zielonożółte orgje, gdzie każdy kłomb jest inaczej zielony w ogromnej gamie odcieni, podczas gdy cała praca utrzymana w jednym, zasadniczym kolorze. Van Gogh jest specjalistą od śmiałych zestawień: zielone, czerwone, żółte, aby przejść nagle do najdelikatniejszych odcieni: złamane, złotawe ugrzy i blade barwy nieba; rdzawo-czerwone wnętrza kawiarni o północy (zapomocą czerwieni i zieleni pragnę wytworzyć nastrój, w którym rodzi się zdrada, podstęp, zbrodnia...) i cykl pejzaży wiosennych o jasnoróżowym, lekkim kolorze. A przytem odpowiednia technika — pędzel nie nie wygląda, nie lakieruje powierzchni, ale miota się po niej niespokojnie szukając coraz to nowych wyrazów, faktura bogata i różnorodna przy grubo nakładanej warstwie farby. Drzewa, obłoki, tra-

wy dzięki temu zdają się wybuchać jak płomienie. Martwe rzeczy ożywają.

Czem się Van Gogh tak bardzo różni od szkół impresjonistów, z której zasadniczo wyszedł? co jest tak zupełnie odrębnym w jego pracach?

Van Gogh przywrócił sztuce ekspresję, gdzie chwilowe wrażenie widzianych rzeczy przestaje być czemś wystarczającym, gdzie za linią, plamą barwną szukamy twórcy, człowieka. Jego prace malarskie czy rysunkowe pełne są bolesnego zmagania z samym sobą, dygotają niepokojem. Każda linia, każda nerwowo wykrecona kreska wyraża tak silnie jego stan wewnętrzny, wydaje się, że wprost krzyczy bólem. I to właśnie pociąga tak wielu ludzi do twórczości Van Gogha, ludzi, którzy często ze sztuką nie mają nic wspólnego i nawet nie potrafią określić dlaczego im się to podoba.

Słońce, tak ukochane przez Van Gogha, że nawet swój domek wymalował na jego złoty kolor, ukazuje się w jego pracach wyolbrzymione, wschodzące w całej pysze gorących, płomiennych kolorów. I takie to dziwne zestawienie: kult słońca, które jest przecież symbolem pewności siebie, radości życia i ten list pełen goryczy i zwątpienia, ostatni list z pięknej serji listów do brata.

EDDY i B. CH.

# Dom zaczarowany

(Fragment z niewydanej całości)

Lecz wracając do « obcego » co to zabłąkał się przypadkowo do naszego domu, to zdarzało się i tak, że wiedziona przysłowia jaka mu przytrafiła, zapragnął nagle (dziwna droga ewolucji człowieka) awanturczego życia — i sprowadzał się tutaj.

Biedny — nie przypuszczał, że wsiąknie w otchłań naszego domu raz na zawsze.

Najpierw zamieszkiwał skromnie na pierwszym piętrze, lub nawet na parterze, obiecując głośno sobie i nam, że to tylko tymczasowo, bo ma zamiar i nadzieję pójść wyżej. Ten górny mostek, ta strefa i sfera górnych pięter i jego urzeka.

Mówiliśmy sobie: niech mu będzie. Niech idzie. Znalizmy te nieopatrzne obietnice.

Wiedzieliśmy więcej: że męcząca droga pod górę jest jednak o wiele łatwiejsza niż utrzymanie się na szczycie. Tam dopiero człowieka szarpało.

Bo dopóki siedział na dole, doznawał tylko tych małych zmartwień, których mu ośmiesz, zawsze przygotowania na nasze nieszczęścia, wszyscy współczuliśmy.

A tym na górę — ktoś z nas mógł współczuć. Któż ich mógł żalować? A przecież dopiero żal był ważny, gdy myśmy żalowali. O, myśmy mieli w tym wielką wprawę, myśmy to umieli robić.

Nasze posępne, piwniczne podwórze przyjęło niejednego takiego, co wdarł się aż na piąte piętro.

I dziwici się nam dzieciom, że patrzyliśmy nieufnie na rękę, która nam ofiarowywała słodycze. Doświadczaliśmy przecież, że po każdej słodkości — czeka nas ocean gorzkości.

Lecz mimo tej starczej wiedzy, braliśmy wszystko.

"Obcy" nie znał magicznej siły naszego domu zaczynając wyprawiać. Z miejsca uroiły mu się jakieś przywidły. Już widocznie tak a conto tej władzy, jaką mu miały przyznać górne piętra.

Nie można o nas powiedzieć że byliśmy zachlanni i wszystkie mądrości i doświadczenia chowali skrzętnie tylko dla siebie. Wcale nie. Ojcowie nasi, najpierw długo obserwowując obcego, brali go wreszcie na pogawędkę i wykładali mu co myślowo o tym "rozpięciu się". Dla przykładu dawali mu taki obraz:

Nie zawsze tych, co zamieszkiwali górne piętra, los oszczędzał. Byli tacy, co umieściwszy się tam, stopniowo schodzili coraz niżej, nieraz aż na sam parter. Do suteryni nie mogli, bowiem nasz dom suteryni nie posiadał.

Byli jednak i tacy, którzy uparcie

trzymali się górnego piętra, mimo, że już nikt im się nie kłaniał, mimo, że stróż nie przerywał zamiatania, gdy mieli pecha przechodzić koło niego w takiej chwili, jak "ci, co to mogli znaleźć stolowników, czym chcieli się podtrzymać, i sami nie jedli.

Aż wynosili się pewnego dnia na zawsze z naszego domu i znikali bez wieści. Lecz mieszkanie po nich pozostało. To było ich mieszkanie. Choćby się tam Bóg wie kto ważny po nich osiedlił. Tych nowych nazwyliśmy nieinaczej jak "ci, co to mieszkają (oprz.) po Kozłowskiach". Nazwiska "nowych" nigdy nie mogliśmy spaścić.

Ale zdarzało się i tak, że jakiś uparty lokator górnych pięter, nie mogąc pogodzić się z biedą i nieszczęściami, co go kłuły ze wszystkich stron, co go pchały by szszedł niżej, zagapił się ponurymi rękami i liliowymi zmierzchniami w otwarte okno, i o pewnej godzinie — w porze kiedy ciemnie rosieją — od razu szedł w dół!

Jeżeli beton może przesiąknąć krwią, to beton naszego podwórza dobrze nią przesiąkał.

Obcy nie słuchał.

Roił swoje i rzucał się.

Najpierw rzucał się na nas. Ze za głośno mu krzyczymy na podwórzu.

Checiałbym zapytać: a czyje to było podwórze, jak nie nasze?

Ale obcy wściekał się. Zamykał okno. I otwierał je poto, żeby nam wymyślać. Zadzierał nam głowy i słuchaliśmy w milczeniu. Niech się wykrzyczy. Ulży mu to. Niczem nam przecież nie mógł zaimponować. Gorącą wodę, że tak powiem "dopiero co zaparzoną", przyskakując z okna na nasze jasne głowy, poznaliśmy już dużo wcześniej; już umieliśmy uchylić się na tyle, żeby paropary nam tylko bosa stopy. A litania ordynarnych porównań towarzyszyła nam od pierwszego odemknięcia powiek i ujrzenia niewyraźnych, zamglonych konturów czarownego świata.

Obcy po południu wrzeszczał o klucz od góry.

I w tym napotykał na nieprzewidywane trudności. Bowiem stróż, wiecznecy i wreszcie wycieki złodzieja, nie mogli darować obcom, że go kiedyś przyłapał, i to jak nie trafnie, w ciemnym korytarzu. I że ta "pożądana" twarz zaznaczył się w jego pamięci, jak twarz nieuchwytnego złoźcy w albumie przestępców dla komisarza policji.

I ktoś takimu "napiętnowanemu" mógłby powierzyć klucz od góry?

Jak żyje, to takich piekielnych awantur, które staczał obcy ze stró-

żem — nigdy nie słyszałam.

Zaczynało się właściwie bardzo delikatnie. Obcy, wiecznecy podniecony rojeniami, wybiegał pędem z mieszkaniem i rozbijając po drodze głowę o ściany korytarza, zatrzymywał się tuż przed drzwiami stróża, chwilę czekał, a zapukawszy, najuprzejmiejszym głosem "prosił" o klucz.

Przysięgnę, że była to jedyna jasna chwila w ciągu dnia dla naszego stróża, gniebionego przez nieuchwytnych złodziei.

Odmrukiwał: cego? — i niby to zaczynał poszukiwać na ścianie. Coś tam pobrzdakał. Drzwi uchyłał bardzo skąpo, i aby dać obcomu do myślenia, wsuwał stopę w szparę. Tak na wszelki wypadek.

Obcy zapalał papierosa, ciągle jeszcze uprzejmy, i przemawiał do nas, czekających w milczeniu na wiszącą w powietrzu awanturę. Aż nam dech zapierało na myśl o tej uczucie.

W pewnym momencie stróż zamykał drzwi, uprzednio powiedziawszy krótko: klucza ni-ma.

Obcy gasił papierosa, wyprostowywał się, miał zdaje się taką chwilę, że chciał zrezygnować (strasznie się tego bał) — lecz nagle kurcząc się, doskakiwał do drzwi i chwycił za klamkę.

Natychmiast stawali się za nim i dane nam było ujrzeć stróża, beztrósko i obojętnie wylegającego się na łóżku.

Obcy, jakąjącym się z irytacji głosem, już teraz "ządał" klucza.

Stróż zakładał okulary, jakby chciał mu się lepiej przypatrzeć. Po czym powracał do gazety.

My, zawsze uszułni i skorzy do współczucia, zaczynałyśmy na własną rękę poszukiwania. Podrzucaliśmy, że może klucz jest w tych lub w tamtych, ganialiśmy po wszystkich piętrach, potrącając dyszące w wściekłości obcego, pukaliśmy do mieszkań co do których doskonale wiedzieliśmy, że jedyną obecną tam duszą w tej chwili jest tylko zegar — i z powrotem zatrzymywaliśmy się przed mieszkaniem stróża.

Obcy wpadał tam. Przerzucał wszystkie klucze wiszące na ścianie, sapał, wzdychał, kłął — i wreszcie obrzucał stróża obelgami, że ukrył klucz.

Dzisiaj już rozumiem dlaczego stróż nie obrażał się, nie groził za te obelgi sądem — jak to się zdarzało na porządku dziennym w naszym domu pośród innych lokatorów.

Po prostu dlatego, że miał większą przyjemność w syczeniu się pasją obcego, który szalał.

Jestem przekonana, że gdyby na-

wet obcy porzbił mu graty, wcale by się nie upomniał o zwrot kosztów.

Kończyło się na tym, że stróż przez posiadanie klucza lub przez wiadomość gdzie klucz się znajduje, stawał się zawsze panem sytuacji. Więc obcy wykrzyczał, że wpadł do swego małego "tymczasowego" mieszkania i poprzestawczy tylko na ziówrotnych obietnicach, że jak "przenieś się" wyżej, to pokaże, już nie tylko stróżowi, ale i nam Bogu ducha winnym dzieciom — rozciągnął sznury od okna do drzwi, i wieszal swoją parszywą bieliznę. My dzieci — ciągle czekaliśmy.

Na zerwiec. Na lipiec — kiedy słońce tak uwidzie swymi palcami promieniami Wisłę, że wyschnie z miłości dla niego i obnaży gdzie nie gdzie swe piaszczyste dno.

Tęskniłyśmy do wyspy, pojawiającej się rokrocznie na środku naszej rzeki.

Tam dopiero żyliśmy dla siebie. Bowiem — porzucaliśmy czas, a raczej czas od nas odchodził. Gubiłyśmy tę obrzydliwą miarę wymyśloną przez głupich dorosłych, którzy chcieli w zegarze, w pudle skonstruowanym przez swoją bojaźń i niewiedzę, umieścić skąpe minuty swoich przyjemności.

Co to za głupie powiedzenie "wróćcie o siódmej".

Bardzo pięknie.

Zegar Zamku Królewskiego wszędzie nas ścigał swymi dwunastoma oczami.

Alle czy słońce, które zachodziło, miało właśnie o tej porze, specjalnie dla nas, od razu zbierać wszystkie kolory z ziemi, od razu wyciągnąć wszystkie ciepło z Wisły, od razu sprowadzić zmierzch i zimno?

Przepraszam, ale to nam się nigdy nie przydarzyło.

Oczy nasze, dlatego nigdy nie były ani czysto niebieskie, ani ciemne, tylko błękitno-zielono-lilowe od tych właśnie kolorów, jakimi zachodzące słońce żegnało Wisłę, i które chłoniłyśmy wzrokiem.

Niestuszenie nas matka posadzała, że ganialiśmy zanadto, że zapędziłyśmy się za czymś co dla niej było niepojęte — że stał te wypieki u nas na policzkach.

Wcale tak nie było.

Ale jakże mieliśmy nie być zgrzani skoro obserwowaliśmy wschodzący wielki, pomarańczowy księżyc — czy i tego wieczoru zatrzyma się nad naszym domem?

I jakżeby nie.

Goniłymi wtedy co tchu do domu, aby pozostawić sobie w pamięci ten znak specjalnej łaski nocy dla miejsca, gdzie się osiedliliśmy.

## Kalendarz wojenny

### Środa 24 stycznia

Wszystkie wiadomości nadchodzące z Finlandji są zgodne, że wojska sowieckie otrzymały znaczne posiłki, jak też że ich taktyka wojenna zaczęła wykazywać większe przemyślenie na skutek odniesionych klęsk. Tem niemniej Finnowie powstrzymują ataki sowieckie na wszystkich odcinkach. Rekord swego rodzaju został odniesiony przez lotnika fińskiego, który w przeciągu kilkunastu minut zeszedł 6 nieprzyjacielskich samolotów. Dotychczasowe straty w wojnie fińsko-rosyjskiej oceniane są przez czynniki kompetentne na 2500 zabitych i 7500 rannych ze strony fińskiej, oraz na około 150.000 zabitych, rannych i zaginionych po stronie rosyjskiej.

Potwierdzają się wiadomości o dalszej penetracji oddziałów wojskowych niemieckich w Małopolsce Wschodniej m. in. w zagłębiu naftowym, oraz we Lwowie, dokąd ma przybyć inż. niemiecki Todt, twórca linii Siegfrieda oraz autostrad niemieckich.

### Czwartek 25 stycznia

Finlandja odpiera w dalszym ciągu wszystkie ataki sowieckie. Odczuwa jednak wielki brak samolotów, co skłania Min. Spr. Zagr. fińskiego Tannera do przypomnienia tego stanu rzeczy w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi włoskiemu "Popolo di Roma".

Rokowania prowadzone w Bukareszcie z rządem Rumuńskim przez Dr. Clodiusa, szefa biura ekonomicznego niemieckiego M.S.Z. dotyczą w pierwszym linii nafty i roślin olejnych. Rumunii zobowiązały się, w układzie datującym z przed kilku dni, dostarczać Niemcom po 6.000 ton dziennie ropy, a dotąd dostarczają tylko 4.000. Osobny punkt rokowań stanowi postulat Niemiec przerobienia ropy zagłębia polskiego w rafineriach rumuńskich. W związku z tem należy zasymalizować utworzenie z dniem 15.1. b.r. Biura Naftowego Rumuńskiego, które upoważnione będzie do kontroli rozwoju eksploatacji terenów naftonotnych.

Na zapytanie postawione w Brytyjskiej Izbie Gmin czy gwarantuje Angielsko-Francuska udzielona Belgii na wypadek jej zaatakowania wejdzie natychmiast w życie, Premier Chamberlain odpowiedział, że traktat Locarneński o pomocy wzajemnej z dnia 16 października 1925 zobowiązuje rząd J.K.M. do natychmiastowej pomocy na wypadek niesprowokowanej agresji ze strony Niemiec. Zobowiązanie to zostało potwierdzone przez układ Londyński z dnia 19 marca 1936, przez deklarację angielsko-francuską z dnia 24 kwietnia 1937 i wreszcie przez oświadczenie złożone Królowi Belgów przez Ambasadora brytyjskiego w Brukseli w dniu 27 sierpnia 1939. — Minister Spraw Zagranicznych van Klefens wygłosił w senacie przemówienie, podkreślając znaczenie polityki neutralności, prowadzonej przez rząd przy całym poparcu narodu. Dłuższy ustęp przemówienia poświęcony był problemowi moralnego pogwałcenia neutralności Holandji.

### Piątek 26 stycznia

Na północ od jeziora Ładoga rozgrywa się zaciekłe walki fińsko-rosyjskie na odcinku 100 km. frontu.

Dr. Clodius, szef biura ekonomicznego niemieckiego M.S.Z. przybył do Rzymu celem wejścia w kontakt ze sferami gospodarczymi włoskimi.

Rozmowy pomiędzy rządem brytyjskim i rządem japońskim, spowodowane zatrzymaniem statku japońskiego Asama-Maru przez okręt wojenny brytyjski i wzięcie do niewoli 21 obywateli niemieckich, znajdujących się na statku japońskim, nie są jeszcze ukończone.

Rząd Kanadyjski rozwiął parlament. Premier Mackenzie King jako powody podał, iż rząd, w obliczu przypuszczalnej wielkiej ofensywy na wiosnę i potrzeby pełnego przygotowania kraju, musi mieć zupełnie poparcie opinii publicznej. Wobec powyższego parlament zostanie wybrany na lat 5.

Marszałek Goering podpisał dekret dotyczący zajęcia całego mienn państwowego polskiego — zarówno nieruchomości i ruchomości jak też wierzytelności Państwa wszelkiego rodzaju. Wszystkie osoby prawne i fizyczne posiadające lub zarządzające dobrem państwem zajętem, zobowiązane są do zadeklarowania go w przeciągu 1-go miesiąca.

### Sobota 27 stycznia

Finnowie odpięraj zwycięsko ofensywę rosyjską trwającą już 5-ty dzień. Finlandja otrzymuje kredyt w wysokości 100 milionów dolarów w nowojorskim banku przywozu i wywozu.

Międzynarodowe źródła rumuńskie wyjaśniają, że utworzenie Biura Naftowego miało na celu powiększenie produkcji ropy i nie było spowodowane jakimkolwiek naciskiem przychozącym z zewnątrz, co do czego w prasie zagranicznej ukazał się szereg nieścisłych wiadomości.

Winston Churchill, 1-szy lord admiralacji wygłosił wielkie przemówienie w Manchesterze.

Użył znamiennego zwrotu: "Wielka Brytania nie ma zamiaru wycofywać bez końca uderzeń ze strony nieprzyjaciela, mam nadzieję że nadejdzie dzień gdy p. Hitler sam siebie zapyta jakie i gdzie otrzyma uderzenie".

W piątek 2 lutego ma się zebrać konferencja Porozumienia Bałkańskiego w Belgradzie pod przewodnictwem ministra spraw zagranicznych Rumunji p. Gafencu. W konferencji tej wezmą udział ministrowie spraw zagranicznych Turcji, Grecji, Jugosławji oraz Rumunji.

### Niedziela 28 stycznia

Ataki sowieckie na północ od jeziora Ładoga osłabły. Finnowie zadają armji rosyjskiej ciężkie straty. — Redaktor dyplomatycki londyńskiego Sunday Times pisząc o pomocy dla Finlandji, stwierdza iż jest ona z dnia na dzień poważniejszą. Podkreśla on dalej potrzebę najprędzej pomocy i wypukła lekko, że stanowisko ludności państw skandynawskich w tej sprawie jest bardziej zdecydowane od stanowiska zajętego przez rządy tych państw.

### Poniedziałek 29 stycznia

Wojska fińskie odpięraj w dalszym ciągu wszystkie ataki rosyjskie i zdobyły nawet zdobyć kilka punktów oporu sowieckiego. Wojska rosyjskie atakowały kilkakrotnie bezskutecznie na samej północy koło Petsamo. Na skutek syberyjskich mrozów panujących już od przeszło dwóch tygodni w tym rejonie wojny i dochodzących do minus 50 stopni, wielką ma być liczba ofiar po stronie rosyjskiej, ginących z wyczerpania. Pierwsze oddziały ochotników szwedzkich mają w najbliższych dniach objąć odcinek frontu.

Zwraca uwagę dementi rządu sowieckiego ogłoszone przez agencję TASS, stwierdzające, że poza wojskami sowieckimi niema ani jednego żołnierza lub oficera obecnej armji na terenie Ukrainy Sowieckiej. Wbrew temu zaprzeczeniu, głosy prasy dochodzące z Bukaresztu sygnalizują obecność oddziałów wojskowych niemieckich oraz oddziałów Gestapo we Lwowie, Przemyslu i Stanisławowie. Oddziały te mają rzekomo obsadzać linję kolejową idącą od granicy rumuńskiej przez Stanisławów do Drohobycza.

Premier Daladier wygłosił o godz. 8-ej wieczór przemówienie przez radio, zaznaczając, że rząd francuski umieszkodził przywódców ruchu komunistycznego którzy jednocześnie podlegali rozkazom Moskwy i Berlina.

### Wtorek 30 stycznia

Wojska fińskie odpięraj na łądzie wszystkie ataki sowieckie. Przez cały ubiegły tydzień szereg miast Finlandji i ludność cywilna doznały codziennych prawie masowych nalotów i bombardowań, które nie oszczędzały również szpitali. Radio angielskie ogłosiło wczoraj, że 200 aeroplanów przeznaczonych dla Finlandji znajduje się już w Norwegji.

W ostatnich dwóch dniach lotnictwo niemieckie atakowało kilkakrotnie statki handlowe wzdłuż wschodnich wybrzeży angielskich. Urzędowe źródła angielskie podają że do dnia 24 stycznia straty w statkach handlowych konwojowanych, wynoszą jedynie 2 od 1000. Na 788 statków konwojowanych zatopionych zostało tylko 15.

W siódmą rocznicę objęcia władzy przez narodowy socjalizm kanclerz Hitler wygłosił przemówienie, w którym winę za wybuch wojny przerzucił na Wielką Brytanię.

EDDY.

## Sprawozdania kinowe.

Wczoraj przyszedł do naszego konsulatu jakiś srodze zafrasowany Francuz i powiada:

— Żona mi uciekła.

— Hm...

— Uciekła z lieutenant polonais, lotnikiem.

— Oooo...

— Chciałem się dowiedzieć, czy nie możnaby ich odnaleźć, może zostawiła jakąś wiadomość, jakiś ślad?

— A jak godność szanownego pana?

— Eee, moje nazwisko nie wam nie powie, bo to żona nieślubna. Zylizmy ze sobą dwa lata...

— A jak nazwisko pańskiej żony?

Francuz stęknął, sapnął: — Ziesiezińska, Dzieziesiezzińska... nie, nie mogę tego wymówić! Strasznie trudne, polskie nazwisko...

W parę godzin później posłałem do kina na stary, francuski film p.t. "Żona piekarza" (La femme du boulangier) i prawie ta sama historia — zafrasowany piekarz powiada: — żona mi uciekła... O la, la, cóż za pechowy dzień!

Gdyby ktoś nie znalazł Francji i Francuzów i mnie się radził, jaki ma zobaczyć film, żeby to było stu procentowo francuskie, esencja tego, co nazywamy esprit français, tobym wymieniał Duviviera i właśnie ten film. Jest to przeróbka z powieści młodego, francuskiego autora, Jean Giono, który miał ostatnio spore kłopoty z władzami z racji swoich oryginalnych i dość nietumiznowanych przekonań. Film nakręcony w studio Pagnola, autora "Fanny", "Marjusa", i "Pana Topaza", przypomina swoją techniką teatr. Podstawą akcji jest dialog, a nie ruch, niema ciaglej zmiany obrazów, galopu konia przez pola, mosty, bregami rzek, tempo i ruch mieszczą się w treści zdania, słowa się spieszają, słowa biega, a miejsce jest wciąż te same — małe miasteczko z piekarnią i drzewem pośrodku.

W filmie tym scierają się przez cały czas dwa elementy: śmieszności i tragizmu. I wydaje się, że autor robi co może, żeby zagłuszyć tragizm i patos, żeby śmieszność zwyciężyła. Śmieszny jest zdradzony mąż, kiedy mu przynoszą w pięknie zapakowanym pudle — jelenie rogi, śmieszny jest, kiedy sam się upija, płacze, śpiewa, biega w opadających spodniach, zasypia w odświetnym garniturze i w meloniku na głowie w piekarnianej dieży. Śmieszny jest ksiądz skaczący nagle przez ławkę, a potem podróżujący naklepie przez błoto na plecach swego największego wroga w poszukiwaniu zbiegłej piekarzowej.

A jednak, rzecz szczególna — im więcej autor ośmiesza, trywializuje swoich bohaterów, tem bardziej zwycięża tragizm, sytuacja staje się patetyczna. I widzę wychodzi z kina serdecznie wzruszony.

Świetny film. Trzeba go szukać po małych kinach na przedmieściach. W tej chwili grają go jeszcze w "Paris-soir" na avenue des Ternes po 5 franków od miejsca. Ale lepiej przed pójściem raz jeszcze sprawdzić w gazecie.

Słowo "propagandowy" budzi z zasady pomruk niechęci. Przyzwyczajono nas, że propaganda musi być nudna i nadęta. To też jedno z najcięższych rozczarowań przynosi "Skrzydlaty lew" (Le lion a des ailes). Cóż za żręca robot!

Mało który kraj zdecydowałby się pokazać swego premiera, czy króla w ten sposób, bez obawy ośmieszenia. Oto Jerzy VI zjawia się w szkockiej spódniczce w kratkę, z odsłoniętymi kolanami. I cała rodzina: Król, Królowa i obie dziewczynki śpiewają razem z gromadą szkotów jakąś wesolą piosenkę z postukiwaniem się napłask dłońmi to w czolo,

to w kolano.

A zaraz potem pokazują rozszerekanego Hitlera na wiecu, zachystrującego się własną wściekłością. Wywrzuca z siebie potok słów twardech, jak uderzenia pałką po plecach. Wali pięścią w pulpit: — obiecuje, obiecuje, obiecuje! Widownia wybuchła śmiechem i gwizdami.

"Skrzydlaty lew" nakręcony przez Aleksandra Kordę w ciągu 15 pierwszych dni wojny gości chwałę angielskiego lotnictwa, słynnej angielskiej R.A.F. kulminacyjnym punktem jest wspaniała rozgrywka nad Kielem.

Znani lotnicy i popularni aktorzy angielscy z Merle Oberon i Richardem Richardsonem na czele brali udział przy nakręcaniu filmu.

Trochę potknięty jest francuski film pod propagandowym tytułem — "Niech żyje Naród!" (Vive la Nation). Jedno, co jest w nim świetne, to zdjęcia. Coprawda główne nieporozumienie dałoby się łatwo usunąć — na afiszach powinno być zaznaczone: film dla dzieci, i wtedy wszystko w porządku. Dzieci nie odstrasza dłuższy filmowe, przejęte i wzruszone, będą z zapartym tchem śledziły bohaterkie dzieje małego dobosza, swego rówieśnika z 1792 roku.

Aż w siedmiu kinach wznowiono film francuski p.t. "Berlingot et Cie". Nie radzę.

Oto na miesiąc rozlepiono afiszę z żółtą maską Hitlera i czerwona czapą z sowiecką, pięcioramienną gwiazdą. W dwóch kinach jednocześnie idzie premiera: — "De Léonie à Hitler" (ostrzegam — premiera — bilety jeszcze bardzo drogie!) Nie jest to właściwie żaden nowy film w ścisłym tego słowa znaczeniu, żadne sensacyjne odkrycie, prostru montaż z wielu, starych kawałków, zdjęć przeważnie słabe, nieporadne, nie-